



ANA VELOSO
DZIEWCZYNA
ZNAD

*Nowa powieść autorki *Bądź zdrowa, Lizbono**



RIO
PARAÍSO

Świat Książki

**DZIEWCZYNA
ZNAD**

**RIO
PARAÍSO**

ANA VELOSO

DZIEWCZYNA
ZNAD
RIO
PARAÍSO

Z niemieckiego przełożyła
Magdalena Jatowska


Świat Książki

Tytuł oryginału
DAS MÄDCHEN AM RIO PARAÍSO

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redaktor
Hanna Bielska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Olimpia Sieradzka
Anna Jaroszuk

Copyright © 2009 by Ana Veloso
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki, 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2415-4

Nr 45062

Sandrze

*Nunca lamente uma ilusão perdida, pois não haveria fruto
se a flor não caísse.*

(Thaysa M. Dutra)

Nigdy nie opłakuj utraconych złudzeń, przecież nie
byłoby owocu, gdyby nie spadł kwiat.

Było zbyt jasno.

Światło bolało. Wywoływało intensywne pulsowanie za czołem. Młoda kobieta natychmiast na powrót zamknęła oczy, jednak słoneczne promienie przebijały przez powieki i dręczyły umysł dzikimi wzorami w odcieniach żółci i pomarańcza. Zrobiło się jej niedobrze. Obróciła głowę z lewej strony na prawą z nadzieją, że ból i mdłości przejdą. Przez kilka minut trwała nieruchomo w tej pozycji, ale nie poczuła się lepiej. Do bólu głowy dołączyły natomiast wyrzuty sumienia. Skoro w pokoju było tak jasno, musiało być już południe. Dlaczego, na miłość boską, o takiej porze wciąż leży w łóżku? Zanim znalazła odpowiedź na to pytanie, niespokojny sen wyzwolił ją od tętniącego bólu.

Kilka godzin później ponownie otworzyła oczy. Światło było mniej jaskrawe, a dręczące pulsowanie w czaszce nieco osłabło. Czuła teraz jednak nieznośne pragnienie. Usta miała tak suche, że język niemal przyklejał się do dziąseł. Koniecznie potrzebowała szklanki wody. Spróbowała się podnieść, ale bez skutku. Zdołała podciągnąć tułów na kilka centymetrów, po czym opadła wyczerpana na poduszkę. Została zatem w pozycji leżącej i miała nadzieję, że w końcu ktoś się nią zajmie. Może powinna zwrócić na siebie uwagę? Chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się zaledwie cichy jęk. Nie pozostało nic innego, jak czekać.

Na leżąco i nie poruszając za bardzo głową, rozejrzała się po pomieszczeniu. Była pewna, że nie widziała go nigdy wcześniej. Gdzie się znajdowała?

Pomiędzy trzema potężnymi, czarnymi belkami sufit był otynkowany na biało. Ściany pokoju czy też to, co mogła zobaczyć w obecnej pozycji, były gładkie i białe. Nie zostały zbudowane z pruskiego

mur. Żadnych obrazów. Nie dostrzegła nawet krucyfiks. Podnoszone do góry okno było lekko otwarte. Brakowało zasłon. Jedyne okiennice mogły zapewniać ochronę przed niepożądanymi spojrzzeniami i światłem, gdyby były zamknięte. Teraz jednak słońce wpadało do pozbawionego ozdób pomieszczenia. Stało już nisko i jego promienie objęły prostą komodę, na której stały dzbanek i emaliowana misa do mycia. Och, Boże, gdyby tylko zdołała wstać i podejść kilka kroków do dzbanka! Umierała z pragnienia!

Do oczu nabiegły jej łzy. Jednak nim zdążyła całkowicie oddać się rozpaczy, do pokoju weszła nagle gruba ciemnoskóra kobieta. Uśmiechnęła się, odsłaniając dziąsła. Były one niebieskawe, a nie różowe, jak u młodej kobiety, która poczuła się nieco niepewnie. Słyszała już i czytała o czarnych, ale nigdy nie znalazła się tak blisko prawdziwej Murzynki. Czyżby trafiła do Afryki? Ale nie, Murzynka ubrana była w zwyczajną bawełnianą sukienkę i wykrochmalony fartuch. Na pewno nie była dzikuską z buszu.

Grubaska paplała bez przerwy. Usiadła na brzegu łóżka, popatrzyła młodej kobiecie w oczy i zwróciła się bezpośrednio do niej. Miała miły głos, a jej ton był przyjazny. Młoda kobieta zaczęła się powoli rozluźniać, choć nie rozumiała ani słowa. Pomimo całej niepokojącej obcości, Murzynka miała w sobie coś matczynego. Natychmiast zrozumiała, czego najbardziej potrzebowała leżąc: wody.

Przytrzymała jej szklankę przy ustach i uniosła tak, żeby mogła pić tylko małutkimi łykami. Po krótkim czasie szklanka została opróżniona. Murzynka wstała, powiedziała coś do dziewczyny, pogłaskała ją po rękę i wyszła z pokoju. Gdy przekraczała próg dziewczyna dostrzegła, że Murzynka nie nosi butów, co uznała za bardzo niezwykle. Ta myśl na chwilę odciągnęła jej uwagę od faktu, że nadal była tak spragniona, że mogłaby opróżnić całe wiadro wody. Potem ponownie zasnęła.

Gdy obudziła się po raz trzeci tego dnia, Murzynka siedziała na krześle obok łóżka. Miała zatroskany wzrok, ale uśmiechnęła się zachęcająco do swojej pacjentki. Ponownie zaczęła z nią rozmawiać, jednak do młodej kobiety nic nie docierało. Dopiero gdy Murzynka wskazała palcem na siebie i powiedziała „Teresa”, zrozumiała. Potem Teresa wskazała na nią i pytająco uniosła ramiona. Najwyraźniej chciała poznać jej imię. Młoda kobieta milczała.

Sprawiała wrażenie zamyślanej, a potem z zalem pokręciła głową.

Do oczu nabiegły jej łzy. Murzynka uspokajająco pogłaskała ją po policzku. Jakiż to głupi pomysł, żeby zmuszać biedne dziecko do mówienia! Dziewczyna na pewno nie odzyskała jeszcze głosu.

A ona otworzyła usta dopiero wtedy, gdy Teresa podsunęła jej małą łyżkę z ryżem na mleku, by ją nakarmić. Zapach wywołał w niej przyjemne uczucie, ale nie umiałyby wyjaśnić, co dokładnie przypominał. Miłe wrażenie nie trwało długo. Szybko zastąpiły je pytania, które dręczyły ją już od przebudzenia. Co się stało? Gdzie się znajdowała? Kim była ta osoba?

A przede wszystkim, kim była ona sama?

W dniu moich siódmych urodzin matka zapytała mnie rano, nim poszłam do szkoły, co chciałabym zjeść na obiad. Dobrze wiedziała, jakie było moje ulubione danie, i oczywiście tego właśnie sobie zaży-czyłam: ryżu na mleku z cynamonem i cukrem. Przez całe przedpo-łudnie wyglądałam w szkole przez okno. Był to pochmurny wtorek, krople deszczu uderzały o szybę. Miniony listopadowy tydzień w roku 1810 był ładny, dopiero poprzedniego dnia pogoda się zmieniła. Ale to niewiele mnie obchodziło. Nie myślałam prawie o niczym innym tylko o chwili, gdy będę mogła wreszcie spróbować słodkiej, kremowej masy. Inne dzieci ze szkoły z okazji moich urodzin zaśpiewały dla mnie *Sto lat*, a ja musiałam wyglądać radośnie, ponieważ nauczyciel zwrócił na to uwagę. „To miło, że sprawiliśmy ci taką przyjemność”, powiedział lub coś w tym rodzaju. Nazywał się Friedrich i już wtedy nie odznaczał się szczególną znajomością ludzi. *Sto lat* było mi bowiem raczej obojętne.

Również drobne upominki, które przyniosły dla mnie koleżanki, nie uradowały mnie tak jak perspektywa ryżu na mleku. Od Anny dostałam plecioną skórzaną bransoletkę, taką, jaką miała ona sama. Wiedziałam, że podarowała mi ją tylko dlatego, żebym ją nosiła, a tym samym wyróżniła ją jako moją najlepszą przyjaciółkę. Jednak moją najlepszą przyjaciółką była Lore. Podarowała mi bączka, który był bardzo ładny, pewnie wyrzeźbił go jej ojciec. Ucieszyłam się, ale nie tak bardzo, jak oczekiwała. „Ojej, ale śliczny!”, zawołałam, jednak Lore wyglądała na nieco rozczarowaną. Na dużej przerwie mój brat Matthias zabrał mi bączka. Dopiero gdy zdołał go w znacznej mierze zniszczyć, odzyskałam zabawkę. Lore płakała, ja nie. Przywykłam do gorszych rzeczy.

Miałam ośmioro rodzeństwa, wszyscy byli starsi ode mnie. Czworo

chodziło ze mną do szkoły powszechnej: bracia Matthias, Johannes i Lukas oraz siostra Hildegarda. Z pozostałej czwórki dwie siostry miały mężów i własne rodziny. Ojciec, pracując w łupkarni, nie zdobyłby ich raczej wykarmić, a nasz kawałek ziemi nie przynosił wystarczająco dużo plonów nawet dla reszty. A najmniej dostawałam ja. To straszne, gdy z jedenastu mieszkających w domu osób – poza rodzicami i niezamężnymi siostrami mieszkali u nas jeszcze ciocia Mechthilda i dziadek Franz – jest się najmłodszą. Nie ma się żadnych praw. Zawsze, nie tylko przy jedzeniu, jest się ostatnią w kolejce. Trzeba robić to, co mówią inni. Należy słuchać rodziców, ale jednocześnie uważać, by nie obrazić rodzeństwa. Kiedyś, i to naprawdę tylko przez przypadek, rozgniewałam Hildegardę, przez co kazała mi tygodniami sypiać na podłodze naszej izby. Nikt o tym nie wiedział. Dopiero gdy prawie umarłam na zapalenie płuc, pozwoliła mi znowu spać w łóżku. Już nigdy więcej nie pisnęłam słówka o jej śmiesznym zauroczeniu parobkiem Kelbelów.

Ale z Hildegardą, pomimo różnicy wieku wynoszącej sześć lat, i tak dogadywałam się lepiej niż z Matthiasem, który jest tylko rok starszy ode mnie. Dręczył mnie i szykanował, jak tylko mógł. Wymyślał o mnie kłamliwe historie, niszczył moje cenne szkolne zeszyty i wylewał mi atrament na ubrania, na które moja matka musiała odejmować sobie od ust, ponieważ uparła się, żebyśmy wszyscy chodzili do szkoły, naturalnie gdy nie było akurat żniw i nie musieliśmy pracować. Powinniśmy mieć lepiej niż ona, powtarzała.

Matthiasowi sprawiało ogromną przyjemność wszystko, co pociągało za sobą karę dla mnie. Nigdy nie pojęłam, dlaczego wszyscy zawsze wierzyli jemu, a nie mnie. Co prawda był utalentowanym kłamcą i aktorem, który, gdy było trzeba, potrafił wyglądać jak niewinny aniołek, podczas gdy ja, w oczekiwaniu kary, która miała mnie niezасłużenie spotkać, zawsze czerwieniłam się i przez to wyglądałam na winną. Jednak nigdy nie mogłam zrozumieć, jak takiemu nicponiowi jak Matthias uchodziły na sucho jego złośliwe psoty, zwłaszcza że z pewnością nie byłam jedyną osobą, która przez nie cierpiała. A może jednak? W naszym domu tylko ja byłam przecież młodsza, mniejsza i słabsza od niego.

Moja jedyna pociecha kryła się w przekonaniu, że Matthias może co prawda oszukać ojca i matkę, nauczyciela i księdza, ale nie dobrego Boga. Ten na pewno widział każdy grzech, który popełniał Matthias,

i na pewno widział także, że ja byłam grzecznym dzieckiem. Pewnego dnia pójść do nieba, a Matthias oczywiście nie.

W dniu moich siódmych urodzin Matthias przeszedł sam siebie w niegodziwość. Zepsuty bączek mogłam jeszcze znieść, ale nie to, co stało się w południe. W pięcioro rodzeństwa wracaliśmy razem ze szkoły do domu. Po drodze Hildegarda znowu robiła słodkie oczy do parobka Kelbelów, a chłopcy zbierali kasztany i rzucali nimi w krowy. Byłam wdzięczna, że nie rzucali w nas, dziewczęta. Był pochmurny listopadowy dzień, a moja radość z powodu urodzinowego posiłku narastała z każdym krokiem zbliżającym nas do gospodarstwa. Była to daleka droga, ale do niej przywykliśmy. Gdy w każdy dzień roboczy chodzi się co najmniej dziesięć kilometrów na piechotę, pięć do szkoły i pięć z powrotem, a do tego odbywa wszystkie inne niezbędne przechadzki, droga przestaje się wydawać bardzo długa. Gdy wreszcie dotarliśmy do domu, matka promieniała na twarzy. Sądziłam, że cieszy się na ryż na mleku tak samo jak ja. Zwykle jesienią jedliśmy tylko dania z ziemniaków i kapusty. Przyprawy oszczędzano, cynamon i wanilię znaleźliśmy tylko ze świąt Bożego Narodzenia albo właśnie z dnia urodzin, ponieważ każde dziecko mogło wtedy zażyczyć sobie swoją ulubioną potrawę. Niezależnie od tego, jak bardzo byliśmy biedni, w jakiś sposób matce udawało się zawsze w te świąteczne dni spełnić każde życzenie.

Matka przytuliła mnie, gest, który rezerwowała na szczególne okazje. Już samo to objęcie wynagrodziło mi wszystkie niesprawiedliwości, które spotkały mnie tego dnia i we wszystkie pozostałe dni w roku. Weszliśmy do domu wypełnionego obiecującym, magicznym, cudownym zapachem. W środku czekał ojciec. Podniósł mnie i powiedział:

– Siedem lat, jesteś już prawdziwą młodą panną!

W tej chwili usłyszeliśmy dobiegający z kuchni potężny trzask i łoskot. Chwilę później wybiegł stamtąd Matthias.

– Chciałem tylko zamieszać, żeby ryż się nie przypalił! – wyszlochał. – Mama była na zewnątrz, a Hildegarda od razu poszła do swojej izby, wy byliście tu w sieni, a inni... pomyślałem, bo to takie wyjątkowe jedzenie i...

Więcej nie powiedział, ponieważ wstrząsnął nim szloch. Wszyscy przeszliśmy do kuchni, by zobaczyć, jakie to nieszczęście się stało.

I ujrzeliśmy garnek z ryżem na ziemi, biała papka rozlała się po kaflach przed piecem.

– Nie chciałeś tylko zamieszać. Podjadałeś. – Ojciec spojrzął na Matthiasa karcąco.

Ten chciał już pokręcić głową, ale zmienił zdanie i skinął. Być może zdawał sobie sprawę, że w kąciku ust przykleiły się mu resztki uczyty, a może po prostu chciał przyznać się do mniejszego przestępstwa, żeby nie zostać posądzonym o większe. Było bowiem dla mnie jasne, że Matthias celowo strącił garnek, gdy napelnił już brzuch moim urodzinowym posiłkiem. Dostrzegłam złośliwe iskierki w jego oczach. Rozpłakałam się.

Matka usmażyła nam naleśniki z jabłkami i mogłam posypać swój naleśnik porcją cukru z cynamonem Matthiasa, przeznaczoną do ryżu na mleku. Uznałam tę karę za zdecydowanie zbyt łagodną za wielką krzywdę, jaką wyrządził mi brat. Obmyślałam zemstę. I to nie tylko na nim. Najchętniej nadziałabym całą swoją rodzinę na widły do gnoju, bo niemal jeszcze gorszy od złośliwości Matthiasa był fakt, że swoim rozczulającym wyrazem twarzy, który nie przedstawiał nic oprócz żalu i smutku, wzbudzał dodatkowo współczucie u pozostałych.

– Zdarza się, nie martw się już. – Matka pogładziła go delikatnie dłonią po jedwabistych blond włosach.

– Masz, możesz wziąć kawałek mojego naleśnika – powiedziała Urszula, najstarsza mieszkająca jeszcze z nami w domu siostra. – Ja się już najadłam.

Dolna warga zaczęła mi drżeć. Zaraz się rozplącę. Lukas, najbardziej dobroduszny z moich braci, chciał najwyraźniej odwrócić uwagę moją i innych od dramatu i skierować ją na siebie.

– Jak miałem osiem lat, zdarzyły mi się jeszcze gorsze rzeczy – oznajmił ważnym tonem i podciągnął rękawy surowej lnianej koszuli. Jakbyśmy wszyscy nie widzieli blizn, które zostały mu po podobnym wypadku przy piecu, tylko z garnkiem wrzącej wody.

Jego niezgrabna próba, żebym zapomniała o przyczynie smutku, odniosła przeciwny skutek. Zaczęłam płakać, gwałtownie wstałam od stołu i wybiegłam z kuchni. Kto, proszę, miał dziś urodziny? Ja! Kto był niegrzeczny? Matthias! I kto został ukarany, a kto nagrodzony? Przestałam rozumieć świat. Ostatnie, co usłyszałam, nim wbiegłam na górę po schodach, był głos ojca. W żadnym wypadku nie tolerowano, by dziecko bez pozwolenia oddalało się od stołu.

– Przez resztę dnia zostaniesz w pokoju! – zawołał za mną.

Nie byłam z tego powodu smutna. W swojej izbie miałam przynajmniej spokój od znęcającego się nade mną brata.

Reszta pechowego dnia przebiegła zdumiewająco dobrze. Wszyscy, z wyjątkiem ojca i Matthiasa, odwiedzili mnie „potajemnie” w mojej izbie, wręczyli skromne prezenty, pocieszali lub rozśmieszali mnie głupiutkimi żartami. Urszula przeprosiła nawet za swoją bezmyślność:

– Gdybym wiedziała, że chciałaś jeszcze kawałek naleśnika, dałabym go tobie. Ale wyglądałaś na tak sytą i zadowoloną...

Ponownie do oczu nabiegły mi łzy, jednak Urszula, która miała już szesnaście lat i przypominała mi bardziej matkę niż siostrę, zdołała powstrzymać mnie od płaczu. Objęła mnie, całowała po włosach i szeptała do ucha słowa, które brzmiały na słodsze, niż były naprawdę.

– Cii, moja śliczna mała, nie denerwuj się tak. Takie już jest życie. Mężczyznom wszystko się daje, a dla nas niewiele zostaje. Ha – urwała myśl – to się rymuje! No dobrze. I nigdy nie powinnaś tego podważać, nie mówiąc już o płaczu z powodu tej niesprawiedliwości. Wręcz przeciwnie. Po płaczu wyglądasz brzydko, z opuchniętymi oczami i czerwonym nosem, wtedy żaden mężczyzna cię nie weźmie. Taka mała piękność jak ty na pewno zdobędzie dobrą partię, poczekaj tylko. Ale musisz wyglądać na wesołą, nawet jeśli się tak nie czujesz.

Miałam ochotę znowu się rozkleić. Powstrzymała mnie tylko próba zrozumienia logiki tej niezwyklej nauki. Dlaczego miałabym chcieć męża, skoro jego zadaniem byłoby odbieranie mi tego, co najlepsze? Nigdy nie wyjdę za mąż, przysięgłam sobie, jeżeli miałabym wtedy cierpieć ten sam los, jakiego doświadczałam teraz – zawsze nakładać sobie z miski jako ostatnia, jako pierwsza kłaść się spać, nigdy nie być chwalona za coś, co lepiej umiałam niż któreś z rodzeństwa.

Już teraz, w pierwszym roku nauki, potrafiłam pisać ładniej niż Matthias, ale przy pięknym piśmie Hildegardy, która jeszcze zanim poszłam do szkoły nauczyła mnie alfabetu, moje wydawało się dziecięcą bazgraniną. Umiałam biegać szybciej niż wszystkie inne dziewczęta w moim wieku, ale byłam najwolniejsza spośród rodzeństwa. Jedynym, w czym rzeczywiście przewyższałam innych, była moja pamięć. Potrafiłam zapamiętać najdłuższe listy i pamiętałam dni urodzin wszystkich znajomych osób. Umiałam wszystkie zwrotki

nawet najdłuższych kolęd, a podczas recytowania wierszy błyszczałam jak nikt inny. I co mnie za to spotykało? Drwiny.

„Nasza mała papużka” – żartował ojciec, gdy ubiegłego roku na mikołajki bezbłędnie wyrecytowałam bardzo trudny wiersz, a rodzzeństwo roześmiało się, choć oczywiście podobnie jak ja nie widzieli nigdy papugi.

Pamiętałam jednak nie tylko rzeczy wyuczone, ale także podobne upokorzenia. Kiedyś, powtarzałam sobie, będę umiała się bronić. Gdy już dawno zapomniałam, co mi uczynili, w mojej głowie będą dalej żyć wszystkie pośmiewanki, niesprawiedliwości i poniżenia. A potem im za nie odpłacę.

Ponieważ nigdy niczego nie zapominałam.

Raúl Almeida wcześniej musiał się nauczyć, że może przeżyć tylko wtedy, jeśli będzie twardy wobec siebie i innych. Odznaczał się dyscypliną, odwagą i bezkompromisowością. Nie był jednak dumny z tych cech. Czy kolczasty krzew byłby dumny, że może przeżyć na pustyni lub w surowych górach dzięki temu, że nie ma wymagań? Raúl Almeida nie traktował zatem swoich przymiotów jako „męskich cnót”, jak to określił kiedyś znajomy z miasta, lecz po prostu jako coś przydatnego. Bez nich zginąłby w kraju takim jak ten. Prowincja Rio Grande do Sul na samym południu młodego Cesarstwa Brazylii była ogromna, dzika i niebezpieczna. Mieszkało tu niewiele ludzi, większość z nich stanowili gauchos tacy jak on. Ani na rozległej pampie, ani w pierwotnych lasach w pobliżu wybrzeża nie można sobie było pozwolić na błędy. Bezmyślność często kończyła się śmiercią. A ponieważ Raúl już w dzieciństwie boleśnie doświadczył tej lekcji, nigdy nie dawał się skłonić do rzeczy, których nie dałoby się wytłumaczyć rozumem.

Tylko ten jeden raz.

Dlaczego, do diabła, zabrał ledwie żywą dziewczynę do domu? Dlaczego nie pojechał po prostu do najbliższej miejscowości, by znaleźć lekarza lub przynajmniej aptekarza? Ponieważ, wmawiał sobie, po pierwsze, jego dom leżał niewiele dalej niż wioska. Po drugie, jego stara niewolnica Teresa w sztuce leczniczej przewyższała wszystkich lekarzy. I po trzecie, prawdopodobieństwo, że w małej, biednej wiosce znajdzie specjalistę i tak było nieznaczne. A jednak. Gdyby po prostu odstawił dziewczynę gdzie indziej, miałby teraz o jeden kłopot mniej. Co go naszło? Od kiedy to miewał takie niewytłumaczalne przykławy miłości bliźniego? Czy poważnie ranna dziewczyna to jego problem?